

Poniżej zamieszczamy pierwszy artykuł z cyklu: „Poznańskie teatry i poznańska publiczność”, pióra Bogdana Danowicza.

INOWY ŚWIAT

TYGODNIOWY
DODATEK „GŁOSU”
Niedziela 16 IX 1956
Rok VII Numer 36



Bogdan Danowicz

Poznańskie teatry i poznańska publiczność

Madagaskarczyków, którzy, gdy koncepcja życia. W pojęciu popokazano im ich własne oblicza znańskiego bourgeois kultura utożsamiała się z rozrywką, która była dla nich formą swoistej nagrody lub przy-

bieżności w duchu wysokich aspiracji ideowo-artystycznych. Pierwsze sezony powojenne pod dyrekcją Stomy (Teatr Pol

Jerzy Pomianowski na jednym z „Czwartków Literackich” w Ratuszu poznańskim zauważył dowcipnie, że niektórzy chlubni i zobowiązujący do czegoś napis na frontonie Teatru Polskiego interpretują w ten sposób, że „Naród sobie”, a scena sobie. Niewątpliwie negatywne sformułowanie hasła zaostreza jego sens pozytywny. Instytucja teatru powołana do życia w tak namacalny sposób (gmach wzniesiono w 1875 roku z dobrowolnych składek), winna służyć mu szlachetnie, pokazując na scenie przetrzoną artystycznie prawdę o człowieku i jego epoce. Odwrotnie, naród z całym skomplikowanym bogactwem swego życia powinien być nieustającym źródłem twórczej inspiracji artystycznej dla sceny narodowej.

Związku współzależności, jak zawsze istnieje między sceną a narodem nie wolno nadmierne upraszczać; określa go zespół czynników, wywodzących się z aktualnego ustroju społeczno-politycznego.

Teatr Polski inaugurując swoje otwarcie 21. 4. 1875 roku komedią Korzeniowskiego „Wasy i peruka” oraz żywym obrazem „Obrona Trembowli”, był w swoim założeniu instytucją narodową, powołaną do krzewienia mowy ojczystej i uczuć patriotycznych. Założenia te w okresie terroru Hakiaty pruskiej były słuszne. Toteż ówczesny kronikarz życia kulturalnego Poznania pisze, że na „Horsztynskim” lub „Świętoszku” pomimo dobrego ich zagrania i współudziału doskonałych nieraz aktorów, sala świeciła pustkami, natomiast sztuki w rodzaju „Kościuszk



pod Ractawicami” wystawiane były w sali wypełnionej po brzegi.

Tradycyjne upodobania do sztuk historyczno-kostiumowych, o bardzo przejrzyściej fakturze i mocnych, obrazowych akcentach scenicznych, przetrwały w Poznaniu do dziś. Jeden z największych sukcesów w zakresie frekwencji zdobyła na scenie Teatru Polskiego sztuka Korcellgo: „Stefan Czarniecki”. Rewizjonistyczna postawa dramaturga wobec legendy „Potopu” nie przeszkodziła części publiczności doszukiwać się w sztuce treści, jakie chciałyby w niej mimo wszystko dojrzeć.

Kultywowanie tradycji specyficznych wzruszeń za pomocą wyrazistych bodźców wzrokowo-słuchowych, które dostarczają pożytki do takich skojarzeń, i niechęć przeciętnego widza poznańskiego do skrótu myślowego, umowności w treści i formie dzieła scenicznego oraz rozkochanie się w naturalistycznej ekspresji wystaw operowych — wynika z kilku przyczyn. Jedną z nich jest niechęć do abstraktu w sztuce w ogóle; podzielają ją ci sami, którzy na przykład „dziwolągami” malarstwa Picassa przeciwstawiają „czytelność” obrazów Matejki.

Przyczyną tej niechęci jest więc brak opanowania określonego, obcego aparatu pojęciowego, którym inni już bieżąco władają. Podobnie miała się sprawa kiedyś z grupą

rozpoznać samych siebie. Konwencja fotografii była im zupełnie obca. Nasze dzieci oglądając od najmłodszych lat albumy z fotografiami i ilustracje magazynów, przyswajają sobie szybko elementy tej konwencji, która dla nas jest sy-

jemnej siesty, jakiej zażywał syty mieszczuch po dniu lub tygodniu śnięcia w bardzo konkretnych realiach życia gospodarczego. Podobnej rozrywki dostarczać miał teatr dramatyczny.

Teatr Polski usiłował przeciwstawić się konsumpcyjnej tendencji w pojmowaniu zadań teatru. Wielkim sprzymierzeńcem jego stał się dobry aktor. Na scenie poznańskiej występować więc zaczęli znakomici aktorzy polscy: Modrzejewska, Ludowa, Siemiaszkowa, Rapacki, Żelazowski i Solski. W różnych okresach rozwoju teatru w spisie stałych członków jego zespołu figurowały nazwiska: Adwentowicza, Stanisławy Wysockiej, Tarasiewicz, Jaracza, Żelwerowicza, Osterwy, Junoszy-Stępowskiego i innych. Coraz częściej identyfikowała publiczność poznańska doskonałych aktorów z postaciami wielkich dzieł dramaturgii rodzimej i obcej, zaczynała rozsmakowywać się w coraz to ciekawszych inscenizacjach. Teatr poczynił więc spełniać chociaż w jakimś fragmencie właściwą sobie funkcję społeczno-kulturalną. Rosła jego ranga artystyczna, a wraz z nią powstawały zręby dobrej tradycji kultury teatralnej Poznania.

Po dyrekcjach Rygiera i Leliewicza, w okresie dyrekcji Szczurkiewiczów, podczas pobytu w Poznaniu Żelazowskiego (1920—1924), Stanisławy Wysockiej i Emila Zegadłowicza (1927—1930), scena poznańska przeżywała swój najświetniejszy okres, pomimo że spłacała raz po raz w dość wysokim procencie haracz gustom drobnomieszczańskim.

„Scena poznańska jest do zdobycia dla narodu przez lud, dla społeczeństwa przez jej uspołecznienie. Scena nie powinna schlebiać wątpliwym i kiepskim gustom publiczności. Należy dbać w pierwszym rzędzie o najlepszy możliwie dramat, a operę uwzględniać na drugim planie”. Głęboko słuszne te słowa, napisane w roku 1910 w artykule pt. „O teatr poznański” przez Tadeusza Jaworskiego, stały się jak żywo z powrotem aktualne w drugim powojennym sezonie Teatru Polskiego w Poznaniu, kiedy to nastąpiło jego upaństwowienie.

Rzecz jasna, że sam fakt uspołecznienia sceny dramatycznej dawał teatrowi do ręki wielki atut, który umożliwiał mu kształtowanie gustów nowej pu-

Rok 1946. Teatr Polski, „Grube Ryby” — Bałuckiego. Od lewej: Władysław Neubelt (Szpagatowicz), Ludwik Solski (Ciaputkiewicz), Władysław Stoma (Wistowski). Reżyseria — Ludwika Solskiego.

Rok 1929. Teatr Polski. Stanisława Wysocka w roli Matki w sztuce Juliusza Słowackiego „Beatryx Cenci”.

ski i Szerzbowskiego (Teatr Nowy) postulatom tym zadość nie uczynili. Obie sceny poznańskie kontynuowały w tym czasie przedwojenny teatr z jego dobrymi i złymi tradycjami. Kilka doskonałych inscenizacji Emila Chaberskiego nie zdołało zmienić ich starego szablону.

Od tych pierwszych lat powojennych wiele zmieniło się w (Ciąg dalszy na str. 2)

Antoni Trepiański

W Izbie Kasprowiczowskiej na Kujawach

„Wizja Kujaw nie opuszczała mnie nigdy”
Jan Kasprowicz

Tablica brązowa wmurowana w ścianę zewnętrzną domu na przedmieściu Inowrocława, Szymborze, głosi: Tu urodził się Jan Kasprowicz.

Domek, który przetrwał do dziś, zbudowano w latach 1924 do 1925. To znaczy, że Kaspro-

wicz nigdy go nie oglądał, odwiedzając Szymborze po raz ostatni w czerwcu 1923 roku.

Dawna chałupa z dachem dwuspadowym i wejściem pośrodku, zmurszała od starości, zawałiła się na początku pierwszej wojny światowej. Po śmierci matki poety

pozostały na miejscu dwie jego siostry: Antczakowa pobudowała się w sąsiedztwie, Roliradowa wybudowała obecny domek, pozbawiony cech budownictwa wiejskiego. Składa się on z przedsionka zaopatrzonego w potrójne okno i dwóch niedużych izb, z których jedna została zamieniona na Muzeum Kasprowiczowskie, a druga oddzielona jeszcze od sieni dodatkową kuchenką, służy za mieszkanie córce „Roliradki” z mężem i ich pięciorgu dzieciom. Rodzina robotnicza znosi tutaj straszliwą ciasnotę mieszkaniową... na rzecz utrzymania muzeum pamiątek po poecie. Jest w tym jakaś anomalia, choć zarazem godny szacunku kult osoby autora „Księgi ubogich”.

Miasto Inowrocław biorąc udział w uroczystym otwarciu Izby Kasprowiczowskiej i oddaniu jej do użytku społeczeństwa w dniu 22 lipca 1949 roku zobowiązało się wybudować Świerczom mieszkanie zastępcze. Ale skład Miejskiej Rady Narodowej został zmieniony. Sława Kasprowicza uległa tymczasem pewnej dewaluacji, więc obietnica nie dotrzymano. Za opiekę nad muzeum siostrzenica Kasprowicza otrzymała dopiero niedawno pierwsze zasiłki od Ministerstwa Kultury i Sztuki.

Muzeum jest reklamowane w prasie kujawskiej jako „otwarte codziennie od godziny 9 do 20”. Przeróżne wycieczki zbiorowe i pojedyncze, zgłaszają się istotnie bardzo często. Zainteresowanie dla miejsca urodzenia Kasprowicza, datujące się od kilkudziesięciu lat, nie słabnie, a w bieżącym Roku Kasprowiczowski doszło chyba do szczytu.

Co znajduje się w muzeum i czy ma ono jakiegokolwiek znaczenie społeczne?

Na bardzo skromne urządzenie składa się trochę mebli modrzewiowych i grafiki regionalnej oprócz fotografii i fotomontaży zawieszonych na ścianach; dopełniają ich komplet dzieł Kasprowicza, niektóre dzieła twórców Młodej Polski i nieco

(Dokończenie na str. 3)



Podczas pobytu na Kujawach w roku 1923 Jan Kasprowicz pozował do portretu malarzowi-grafikowi Antoniemu Serbskiemu i wizerunek wykonany przez niego własnoręcznie podpisał. Rysunek ten reprodukcją został po raz pierwszy w „Jednodniowcu”, wydanej przez komitet obchodu 50 rocznicy śmierci Jana Kasprowicza w Inowrocławiu - Szymborze w sierpniu 1956 r.

Poznańskie teatry i poznańska publiczność

(Dokończenie ze str. 1)

Poznaniu w jego ogólnym duchowym klimacie. Dojrzało tymczasem nowe pokolenie poznania. Wzrosła liczebnie i dojrzała kulturalnie wychowywana przez partię poznańska klasa robotnicza. „Noród” poznański zdecydowanie przewarstwiał się społecznie. Relikty jednak starego typu myślenia, wyrażającego zwłaszcza to, czego żąda od teatru jego publiczność, nie zniknęły zupełnie; dlatego reformistyczne dążenia teatru dramatycznego w tym zakresie nabierają szczególnego znaczenia.

Ewenementem kulturalnym dla Poznania była trzyletnia prawie dyrekcja Wilama Horzycy (1948—1951), który nie zaangażował się jednak w walce o nowy, współczesny teatr



Rok 1947 — Teatr Polski, „Dwa teatry” — Jerzego Szaniawskiego. Na scenie: Władysław Stoma (Dyrektor) i Janina Marisówna (Liselotta). Reżyseria Karola Borowskiego, scenografia — Stanisława Jarockiego.

awangardowy Pokazał kilka świetnych stylowo inscenizacji, szczególnie z klasyki obcej, i po-

zegnał Poznań interesującym spektaklem „Hamleta”.

Kryzys artystyczny teatrów poznańskich, który ujawnił się pod koniec dyrekcji Horzycy, pogłębił się jeszcze bardziej i osiągnął swoje dno za dyrekcji Woźnika (1951—1953). Z Poznania wyemigrowało w tym czasie wielu zdolnych aktorów i reżyserów. Ofensywa kulturalna na socjalizmu na teatr ugrzęzła na kilku schematycznych sztukach współczesnych. Klasycznym przykładem swoistej antypropagandy sztuki współczesnej w Poznaniu była realizacja „Awansu” Żółkiewskiej w Teatrze Nowym. Teatry poznańskie rozrosły się w kombinat pięciu scen, dla których bodaj ważniejszym zadaniem od realizacji pomysłów artystycznych było wykonywanie planów ilościowo-finansowych.

Bogdan DANOWICZ

Mgr Ludmiła Nowak

Przyniósł wymianę doświadczeń — zacieśnił więź przyjaźni

Cóż to za zjazd obcokrajowców? Niemieckie, angielskie, francuskie zdania i wykrzykniki krzyżują się, grupy młodszych i starszych osób zawzięcie dyskutują, a między nimi przebiegają gromadki szczupłych, wiecznie młodych sportowców, nieco zażenowanych tym, że mówią po polsku, boć przecież w obu budynkach obowiązuje ścisła „dyscyplina językowa”, czyli zakaz posługiwania się językiem ojczystym.

Cóż to więc za dziwy?

To pierwszy w Polsce kurs lektorów języków zachodnioeuropejskich, zorganizowany staraniem Ministerstwa Szkolnictwa Wyższego. Obok, w tych samych budynkach zamieszkał kurs kondycyjny nauczycieli wychowania fizycznego szkół wyższych.

86 lektorów wyższych szkół wszystkich typów zjechało do Sopotu na miesięczny kurs, którego głównym celem było pogłębienie praktycznej znajomości języków zachodnioeuropejskich. W ciągu bieżących zajęć wyłonili się dalsze cele, a co za tym idzie, dalsze osiągnięcia po znawcze i metodyczne, umożliwione przyjazdem sześciu profesorów i docentów z Anglii i z Niemieckiej Republiki Demokratycznej oraz pięciu profesorów krajowych uniwersytetów. Prócz możliwości pogłębienia praktycznej znajomości języków obcych względnie przekształcania własnej wymowy w bezpośrednim kontakcie z obcokrajowcami, uczestnicy kursu zapoznali się z zagadnieniami współczesnego życia i z najnowszą literaturą trzech krajów zachodnich oraz z nowoczesnym podejściem do krytyki literackiej, dalej — z wynikami najnowszych badań nad historią i rozwojem tzw. języków indoeuropejskich oraz z historią metod nauczania języków obcych. Uczestnicy wypracowali też w licznych dyskusjach wnioski praktyczne doty-

„Kommen Sie schnell, die Vorlesung beginnt gleich, Herr Dr. Rohmer ist schon da!” Vite, vite, nous avons aujourd’hui une discussion très intéressante sur les méthodes d’enseignement des langues étrangères”. „Quick, quick, we must take a seat in the first row, we will hear every word of the excellent lecture of professor Stripe”.

czące celów, programów i metod nauczania języków obcych w szkołach wyższych. Bogała wymiana doświadczeń pedagogicznych pozwoli ulepszyć własne metody pracy, a kilkutygodniowe współżycie w jednym domu sementowało wielką grupę lektorów w jeden silny kolektyw, w jedną wielką rodzinę.

Ministerstwo Szkolnictwa Wyższego dobrze wyposażało kurs. Personel naukowy wynosił ogółem 20 osób, kierownictwo kursu objął opiekun Studiów Języków Obcych w Ministerstwie — prof. dr. Białecki, nadzór naukowy spoczywał w niezawodnych rękach kierownika Katedry Języków Germańskich i Dialektów Wydziału Filologicznego Uniwersytetu im. Adama Mickiewicza w Poznaniu — prof. dr. Ludwika Zabrockiego. Sluchacze otrzymywali gazety i czasopisma zagraniczne i korzystali z wypożyczalni w ambasadach niemieckiej i angielskiej (British Council) książek i filmów dokumentalnych.

Kurs lektorów nie przypadkowo odbył się właśnie w bieżącym roku. Miał on miejsce w ramach odbywającej się obecnie reorganizacji studiów uniwersyteckich i zwiększonych dążeń do współpracy Polski z nauką i kulturą międzynarodową — także zachodnią. Obecna na uroczystym zakończeniu kursu min. Krassowska przyznała, że ministerstwo nie opierało się dotąd dostatecznie pracy lektorów, obecnie jednak widzi w pracy lektorów ważny czynnik współpracy między narodami. Podkreśliła też zaznaczającą się na kursie dużą aktywność i am-

bicję, rokującą nadzieję, że lektorzy poważniej niż dotąd zajmą się naukową pracą badawczą nad metodami nauczania języków obcych.

Profesorowie angielscy, którzy nieraz już wykładali na popularnych w Anglii wakacyjnych kursach językowych dla cudzoziemców stwierdzali, że kurs w Sopocie stał na najwyższym poziomie naukowym, jakiego kiedykolwiek udało im się spotkać. Docent dr. Rohmer z Lipska podkreślał, że choć naród polski znany jest w NRD ze swej pracowitości, ruchliwości i solidności, to jego uderzyła przede wszystkim na kursie atmosfera solidarności i wysokiego poczucia kolektywności wśród uczestników. Czując się odpowiedzialnym za swą pracę wobec obu narodów — polskiego i niemieckiego — obiecał przyczynić się do tego, aby najnowsza literatura niemiecka jak najszerzej dotarła do polskiego czytelnika.

Wykładowcom zagranicznym stworzono w Sopocie idealne warunki pobytu, poprzez liczne wycieczki zapoznano ich z dawnymi zabytkami i pięknymi zakątkami naszego kraju — jak: Szwańc, Karłowice, wycieczki do Orlowa, Zankiem w Malborku i in. Ze przy tej okazji wykładowcy zagraniczni byli jak najwięcej „eksploatowani” przez uczestników kursu, którzy niezmordowanie „męczyli” swoich mentorów pytaniami, dotyczącymi zagadnień językowych i kulturalnych krajów zachodnich — tego specjalnie podkreślać nie trzeba.

Kurs, a raczej — jak się wyraziła wicemin. Krassowska — seminarium lub — jak sładem UNESCO, zasugerował prof. Białecki — stał w Sopocie był pierwszą tego rodzaju imprezą, a więc do pewnego stopnia próbą, eksperymentem. W wyniku tej próby ministerstwo postanowiło tę samą grupę lektorów przeszkolić na dwóch następnych corocznych kursach, na który zwiększył się udział wykładowców zagranicznych i zajęcia poprowadzi się w kierunku oparcia pracy lektorów o silniejsze podstawy naukowe.

Czarodziejska skrzynka

Był późny wieczór, trzaskający mróz — i to na zabitej deskami wiosce na Podhalu. Obok mnie na stoliku stał aparat radiowy, kreślił więc galkami, przerzucał się z jednej stacji na drugą, odległą gdzieś o tysiące kilometrów. Na falach radiowych płynęłam z jednego krańca świata na drugi. Słuchałam burzliwych oklasków przeznaczonych dla uroczego pieśniarza francuskiego Yves Montanda; słyszałam gwar na jakiejś budapeszteńskiej sali kawiarnianej, gdzie śpiewał chór cygański; Warszawa nadała ostatnie wiadomości. Zapomniałam na śmierć o tym, że tuż za oknem w wysokim lesie huczy ponury wiatr, a na kamienistej drodze — żywej duszy nie ma. Wyłączyłam radio, zgasiłam światło. I nagle usłowałam sobie, ile radości mi dała ta mała stojąca obok skrzynka. Jednocześnie jednak — zawstydziałam się. A wiecie dlaczego? Bo oto uprzytomniłam sobie, że ja przecież nie — ale to literalnie nie — nie wiem o zasadach, na jakich jest ona urządzona.

Gdy tylko wróciłam do miasta, wszedłam do księgarni i poprosiłam o jakąś niedużą, popularną publikację na temat radia. Dali mi Ryszarda Dońskiego „Od telegrafu puszczy do radiofonii”. Pochłonięłam ją za jednym zamachem. Dowiedziałam się przede wszystkim — co to jest dźwięk. Następnie — jakie były początki telekomunikacji — od najprymitywniejszego telegrafu puszczy, „tam-tam”, poczaszawy, poprzez „telegraf świetlny”, „gestykulujące semaforey” aż do wieku XIX, kiedy to prąd elektryczny zaprzagnięty został do przekazywania umownych sygnałów, kiedy powstał telegraf elektryczny — pierwszy skuteczny środek łączności na dalekie dystanse.

Prawdziwym przełomem w dziejach telekomunikacji stała się łączność wywołana od przewodów. Autor bardzo jasno i prosto tłumaczy, co to są fale radiowe oraz zasadę działania pierwszych najprymitywniejszych aparatów radiowych.

Dużym krokiem naprzód w rozwoju radiotechniki był wynalazek lampy elektronowej. Każdy rok przynosi dalsze udoskonalenia. W ostatnich trzydziestu latach postęp techniczny w dziedzinie radiofonii przybrał ogromne rozmiary. Autor daje bardzo interesujący szkice dziejów radiofonii. Wreszcie prowadzi czytelnika za kulisy współczesnej radiofonii i zaznaja ją z wyposażeniem i pracą stacji radiofonicznej. Naprzód zwiędzamy rozgłosnie — tam, gdzie powstaje audycja radiowa. Zgłębiamy najrozmaitsze tajniki studia radiofonicznego, kabiny kontrolno-reżyserkiej, amplifikatory, poznajemy różne sposoby utrwalania dźwięków; jedziemy z wozem transmisyjnym w teren.

Pracy mikrofonowej „wykończonych” audycji specjalnym kablem wędrują do radiostacji, tj. do „fabryki” fal radiowych, które ostatecznie doprowadzo-

ne zostają do anteny nadawczej. Fale wysłane przez antenę nadawczą docierają do poszczególnych anten odbiorczych — nawet do głuchej wioski na Podhalu...

Trudno, bym wam powtórzyła wszystko, czego się z tej książki dowiedziałam. Jedno wam tylko powiem: że wdzięczna byłam autorowi za jasne, proste wytłumaczenie spłotu zjawisk połączonych z radiem, za przejrzyste rysunki, dzięki którym skrzynka radiowa przestała być dla mnie jakąś nieodgadnioną tajemnicą.

St. O.

* Ryszard Doński. Od telegrafu puszczy do radiofonii, Wiedza Powszechna, Warszawa, rok 1956, stron 150, cena zł 5,10.

Napisał
Józef Pieprzyk

(Babkowicom o serdeczne zajęcie się tą sprawą.)

Stara Rolnikowa wyszła przed chatę. Izba ciasna i ciemna. Słońce zaledwie ją muska przez maleńkie okno. Chłodno w niej, aż dreszcz za nogi bierze.

Oparła się o plot i wolnuśienko przysunęła się do ławki. Usiadła. Jak przyjemnie mieć na twarzy i drżących, chudych rękach okład z ciepłego słońca! Mimo woli uśmiechnęła się przynajmniej z tego zadowolona i myślała zaczęła wchodzić w minione życie.

Popatrz, to wszystko — to jej gospodarstwo! Pięćdziesiąt morg! Pielegnowała je z mężem, nie mając czasu nasycić oczu urodą wschodów i zachodów. Dzieci rosły na pociechę... Jadwisia już na swoim. Pelasi też się dobrze życie ułożyło. Pracowite obie dziewczynki jak mrówki. Tylko Helcia, ta najukochańsza, najniezwyklejsza. Łaziła do niej chłopczyko, dziewczęce zbalaństwo i zostawiało. Nie samą, oj nie! Z dzieckiem! Z dzieckiem. A, bo to ona jedyna! Przepłakała swój los, bo zawsze takiej jak ona wśród ludzi bardzo ciężko. Ciężko samotnej nieść własne brzemie. Kto jej pomoże?

Władek ożenił się u Biernackich w Gębicach. Sprowadził synową. Dobrze się wszystko z początku zapowiadało. Ale oczy nowej gospodyni starały dopatrzeć się wszędzie złego. Helenę zaczęła uważać za zakatę, za wyrzutka, za niepotrzebny śmieć. Gniew ją palił, gdy teściowa coś osobnego sobie zrobiła do jedzenia. No — stara jest, nie wszystko jej smakuje.

— Dosyć tego! Tak dalej być nie może. Musi być zapis. Niech stara sobie siedzi na wycugu, na swoim, a do moich garów nosa nie wśrubia! — powiedziała.

Władek starał się ją udobruchać. Leczył siłki jego spełzły na niczym.

— Wniosłam majątek, mam prawo! Oparło się o sąd. Od tego czasu dostaje Rolnikowa tyle a tyle chleba, maki, ziemniaków, mleka... Może to i lepiej. Niech sobie młodzi będą dla siebie. Ale w wymiarze nie zostały podane konieczne do tego pewne ilości żywności, serdeczności, ciepła ludzkiego. Nie ma nierzaz odwagi iść do kuchni ze swoim garnuszkiem, by coś ugotować. A młody ją synowa poczęstowała złościwą przymówką? Idzie więc na wieś, pomiędzy ludzi, aby drobnymi usługami zarobić na strawę. Ludzie nie pozwolą jej brodzić w smutku, w złych myślach.

W poszukiwaniu słońca

Wiatr wspiął się na topolę i poruszył liście. Na podwórzu zatupotały nóżki i w oczach staruszki mignęła jasna zjawka.

To Genia, Helcina córeczka.

— A gdzie tak, dziecko?

— Do mamy poleć!

Niech sobie leci! Udane dziecko. Chyba jej będzie dziesiąty roczek! Szkoda, że nie ma ojca.

Helcia by już mogła wrócić. Aż wstyd, żeby córka takiego gospodarza musiała chodzić za zarobkiem po wiosce! Pracowała przez pewien czas w ogrodnictwie państwowym w Pepowie, ale było jej za daleko. Teraz haruje przy żni-

lorski z żoną. I izba dość przestronna i niezła kuchnia; mogłyby dać schronienie Helci i Geni. Usunęłaby się z oczu Władekowej, życie jakoś by się ułożyło.

Synowa jednak nie dała. Po wyprawieniu się Władekowej, kiedy wszyscy byli na polu, przy pomocy dzieci rozwalila chlewiki przy tym domku, aby Helcia nie mogła chować inwentarza. A ludzie także mówią, że siekiera podcięła w chatce belkę, aż sufit się zgał. Przyjechał Władek z pola, zobaczył rumowisko, chwycił się za głowę i — spać się położył. Czego by ten człowiek nie zrobił dla świętego spokoju. Włazł w babskie pantofle. Helci już nie wprowadzić się do chaty, której grozi zawa-



Rys. Ludomir Kapeczyński

wach, przy wykopkach — jak zwykła komornica. Za chleb. Bo gdzie ma się podziać?

Obolały ją już oczy i uszy od tego wszystkiego, co doznaje w domu od Władekowej. Ta, jak sztydem, kłuje ją językiem, a nienawistę sączy przez dzieci.

— Już by mi się ta małpa mogła nieść z oczu! — albo:

— Nie bawcie mi się z Genią od tej małpy!

Tak to się wychowuje? A sama, gdy by rozglądała się po własnej rodzinie, też by gorsze sprawy zobaczyła niż tutaj.

Rolnikowa ręką odgarnęła tłum rozważań. Wyblakłymi oczyma powiodła po nłocie, za którym bieli się druga chatka, należąca do jej gospodarstwa. Wyjmował ją stary stróż wiejski — Poprawa, a po jego śmierci — emeryt Wa-

lenie. Chyba Pan Jezus wszystkiego nie widzi. Taką chatę zniszczyć!

— Taką chatę zniszczyć! — powtórzyła jeszcze raz do siebie. Z trudem podniosła się z ławki.

Za wrotami posypały się na nią cienie brzozy i plamy słoneczne. Niedawno cała wieś uwijała się tutaj przy budowie szosy na pola nowińskie. Co ci ludzie teraz wspólnie nie robią! W Siedle ponowić wspólnie już gospodarzą. Nowe czasy! Może po tej nowej drodze przyjdzie do niej i do Helci trochę lepszy los.

Na pobliskim most ujechał wóz.

— Pójdę tam, do Fabiańczyków. Usnich, chociaż dzieci nie mają, jakoś inaczej. Zyczliwie, pogodnie. Jak smaczny jest chleb obłożony ciepłym słowem!

Szła w słońcu cicha i zgarbiona. Do niej jak kot lasił się cień.

Józef PIEPRZYK

Czyżby już?

LION FEUCHTWANGER: „Lisy w winnicy”. Przekł. z niem. J. Frühlinga. W-wa 1956, PIW, t. 2, s. 496, zł 42,25.

Akcja powieści rozgrywa się w Paryżu w przededniu Wielkiej Rewolucji Rrancuskiej. Przez karty książki przewija się wielkie bogactwo watków. Występujące tu postacie historyczne owyia autor przekonywającym rysunkiem psychologicznym z dużym obiektywizmem, przedstawiając motyw ich działania. Autorowi chodzi o ukazanie spłotu wydarzeń z historii Europy i Ameryki oraz o wywołanie z gąszczu ludzkich spraw, dążeń i namietności ich sensu i konsekwencji. Właściwym więc bohaterem tej książki jest — jak chce autor — postęp, zjawisko realizujące się nieprzerwanie w ciągu dziejów ludzkich.

Waldemar Voisé — „Frycza-Mordzewskiego nauka o państwie i prawie”. Str. 368. Cena — 26,— zł. Książka i Wiedza 1956 r.

Praca powyższa została wydana przez Polską Akademię Nauk — Komitet Nauk Prawnych — Studia nad Historią Państwa i Prawa. Podaje ona ogólne założenia, genezę i funkcję nauki o państwie i prawie. Z kolei omawia naukę Frycza o państwie oraz o prawie, a wreszcie naukę Frycza o wojnie i pokoju. Ostatni rozdział poświęcony jest tematowi — Frycz w oczach współczesnych i potomnych.

„Nowy horyzont”. Str. 492. Cena — 19,— zł. Książka i Wiedza, 1956 r.

Jest to zbiór dziesięciu reportaży głośnych dzisiaj reportażyści radzieckich, takich jak: „Owieczkin, Kalinin, Tendriakov, Zalygin czy Trojeplski. Reportaże ich stanowią najwyższe przejawy zeteknicia się myśli pisarskiej z rzeczywistością. Mówią one o największej współczesności ludzi radzieckich — ukazują ich dzień dzisiejszy. Poprzez proste, powszednie sprawy, odsłaniają wielką perspektywę czasu i narastanie nowych procesów życia. Autorzy zapisują zdarzenia, dopuszczają do głosu same fakty. Fakty nie są jednak rzucone w bezładzie. Układają się w pewien porządek i przez to zachowują wyjątkowo szerszą, prowadzą do głębszych uogólnień.

W Izbie Kasprowiczowskiej na Kujawach

(Dokończenie ze str. 1)

piśmiennictwa o Kasprowiczu. Wśród ilustracji znajdziemy podobiznę Przybyszewskiego. Większość darów pochodzi od Stanisława Helżyńskiego.

— Ostatecznie, należałoby się głębiej prowincji coś od państwa również w zakresie kultury — słucham na wsi pewników i uwag regionalistów. (Szymborze, oddalone od miasta 4 kilometry i liczące około 3000 mieszkańców, nie przestało mieć charakteru osiedla wiejskiego, mimo przyłączenia go do Inowrocławia). — Nie można oczywiście przejawów opieki państwa nad wsią w warunkach demokratycznych ograniczać do działalności szkoły podstawowej, wymiaru sprawiedliwości, milicji, wyznaczania szarwarków i ściągania opłat radiofonicznych, jak to się dzieje w niektórych zakątkach kraju w innych czasach.

Kiedy to tylko jest możliwe, należałoby popierać moralnie i wspomagać materialnie amatorskie poczynania kulturalne, rozbudzone zrozumienie społeczne w zakresie opieki nad lokalnymi zabytkami i pamiątkami przeszłości, próby współpracy wsi z miastem na polu ruchu umysłowego. Jednym z wyrazów takiej współpracy było właśnie muzeum szymborskie, powstałe po raz pierwszy w roku 1931 staraniem Akademickiego Koła Kujawian Uniwersytetu Poznańskiego.

Skoro Izba Kasprowiczowska została reaktywowana po wojnie, warto by ją z wielu względów utrzymać. Przemawiają za tym poważne racje kulturalne, mające w życiu regionalnym praktyczne znaczenie czynników upowszechnienia kultury.

Izba Kasprowiczowska w Szymborze wypada zaliczyć do tej samej kategorii, w której ciekawskie miejsce zajmują: dworek Chopina w Żelazowej Woli, pałacyk Sienkiewicza w Obłęgorku, chata Żeromskiego w Nałęczowie, dworek Konopnickiej w Żarnowcu koło Krosna, domek Zegadłowicza w Gorzeniu Górnym pod Wadowicami, zapomniany domek Orkana w Porębie Wielkiej w Gorcach, należące pamięci Kraszewskiego, a nie urządzony jeszcze dom jego w Warzawie.

Po Kasprowiczu, jak po każdym innym pisarzu, mamy nawet dwie pamiątki jednego typu: w Poroninie i Szymborze. Ważny odcinek wędrówki ziemskiej Poety upamiętnia już Harenda, gdzie spędził ostatnie lata; tutaj na Kujawach przebywał do 28 r. życia. Jest to jedyne tego rodzaju muzeum w całej Wielkopolsce.

Kłopot z utrzymaniem wszelkich miejsc pamiątkowych na koszt państwa jest jednak niemały. W niejednym przypadku — niewspółmiernie dużym do roli społecznej, jaką spełniają zbiory autentycznych pamiątek po zasłużonych ludziach, bądź też tylko jako atrakcje turystyczne. Kłopoty łączą się z konserwacją obiektów i kompetentną, stałą opieką nad nimi.

Trzypiętrowa kamienica Matejki w Krakowie, wypełniona dziełami sztuki i pamiątkami, zrekonstruowana i odnowiona w Roku Matejkowskim, jest po prostu jednym z oddziałów Muzeum Narodowego; dworek w Żelazowej Woli, z depozytami Muzeum Narodowego, tak licznie odwiedzany przez warszawiaków, wycieczki z całego Małopolskiego, cieszy się specjalną opieką Towarzystwa im. F. Chopina; chata Żeromskiego zapisana została w swoim czasie Związkowi Nauczycielstwa Polskiego; pałacyk Sienkiewicza ma się doczekać remontu i częściowego przeniesienia na muzeum z okazji zbliżającego się do obchodu Roku Sienkiewiczowskiego. Z żadnym z tych obiektów jednak muzeum szymborskie pod względem ilości autentycznych pamiątek równać się nie może.

Najcenniejsze zresztą zbiory Kasprowiczowskie w postaci biblioteki przypadły prawie w 100 procentach w Muzeum Miejskim m. Poznania. Podczas działań wojennych w roku 1945.

Żeby wszystkie te żywe pamiątki nie miały czczego znaczenia, trzeba je utrzymywać na jak najwyższym poziomie. W Szymborze komplikują nadto sprawę przyrost naturalny i potrzeby mieszkaniowe lokatorów, nad które nie ma pilniejszych. Pałacowa rzecz staje się więc zastanowieniem się nad celowością i sposobem dalszego utrzymania tej placówki społecznej. Potrzebne są rady i projekty, jak rozwiązać racjonalnie sprawę bytu i formy odpowiedniego muzeum wiejskiego.

Nie ma co ograniczać się do oglądania na pomoc państwa i do zażaleń na Miejską Radę Narodową, kiedy nie wiadomo właściwie, co zrobić dalej z izbą muzealną w Szymborze.

Zgodnie z obietnicami urzędowymi, rodzina Świerczów oczekuje wybudowania domu jednorodzinnego, do którego mogłaby się wprowadzić jednocześnie ze zrezygnowaniem z kubatury Izby Kasprowiczowskiej. Ewentualnie spodziewa się dobudowania całego piętra do obecnego budynku lub co najmniej urządzenia izby mieszkalnej na strychu. Oznaczałoby to naturalnie dalszą deformację budynku, skądinąd zasadniczo niepożądaną.

Po przestudiowaniu sprawy na miejscu i odbyciu konsultacji z jej znawcami, podaje do wiadomości, że obecny stan rzeczy jest nie do zniesienia. Domek należałoby raczej zostawić do całkowitego użytkowania jego właścicielom. Natomiast na terenie przyległego ogródka, między domkami Antczaków i Świerczów, z zapewnieniem odpowiedniego ekwiwalentu komu należy, WYBUDOWAĆ TYPOWĄ CHATĘ KUJAWSKĄ, drewnianą lub murowaną. I tam urządzić muzeum pamiątek po Kasprowiczu i Przybyszewskim, nadto kujawskiej sztuki ludowej, pod opieką Muzeum Pomorskiego w Toruniu czy na etacie Miejskiej Rady Narodowej w Inowrocławiu.

Dotychczasowe połowiczne muzeum szkoda byłoby zlikwidować, gdyż na gruncie istniejącego zainteresowania społeczeństwa mogłoby stać się zaczątkiem placówki kulturalnej bardzo pożytecznej i potrzebnej. W razie przekształcenia się na muzeum z prawdziwego zdarzenia, miałyby może szanse ubiegania się w Poznaniu o parę obrazów z Muzeum Narodowego w formie depozytów, jak i o słownik Lindego ocalały z biblioteki Kasprowicza w poznańskim b. Muzeum Miejskim. Jeśli jednak społeczeństwo nie zdoła się na fundację we własnym zakresie w identyczny sposób, jak złożyło się w latach 1927—1930 znacznie wydatniejszą ofiarnością na pomyślnie inowrocławskie, to nie zobowiąże się żadnych władz do kulturowania dzieła niedokończonego i dotychczasowe wysiłki kulturalne regionalistów około Izby Szymborskiej pójdą wkrótce na marne.

Antoni TREPIŃSKI

Ze starych szpargałów

Wąsy i biała pleć

Nie tak dawniej bywało jak dziś! Inaczej ludzie ubierali się, inaczej się odzywiali i inaczej mieszkali. Wiele części garderoby powędrowało tam, gdzie nawet mól nie jest potrzebny, by je zniszczyć — bo w zapomnienie. Jądro spisy wzbogaciły się o nowe środki odżywcze, a mieszkania i ich wyposażenie... Lecz zacznijmy od wyglądu i ubioru.

WĄSY. Do XVII wieku broda i wąsy były naturalną ozdobą mężczyzny. Zarost zaczęło golić dopiero za czasów Jana Kazimierza. Jan III uratował wąsy, ale broda przepadła. Czy na długo? Wąsów już nie noszą galanci w XVIII wieku, z wyjątkiem wicerych kontuszów. Zresztą moda wąsów była najczęściej uzależniona od panujących.

FRYZURA. Do długich sukien pasowały długie włosy „do pół czoła i pół ucha”. W XVII wieku zaczęło być już skracać. Po najazdach szwedzkich czupryny dalej zaczęły maleć. Za panowania Stanisława Augusta „każdy strzygił lebek niby kleryk lub przeciwnie, do rozkudlenia włosów dopuszczał”. W r. 1794 noszono włosy „à la Kościuszkę”.

Kto miał łysinę, winien głowę smarować „mysim łajnem w wodzie rozpuszczonym”.

KOSZULE MĘSKIE. Na ogół były wyrabiane z płótna llnianego. — Miałły szerokie rękawy, zwężone koło piersi, kołnierzyki kryte lub wywiniete, w zależności od mody. Później, w XVII i XVIII wieku weszło w życie cienkie płótno holenderskie.

KALESONY nie były dawniej znane. Za to wszywano do nogawic płaty płócienne, które co pewien czas odpruwano i prano. Dopiero w końcu XVII wieku pojawiają się tzw. „gacie” i to u bardzo zamożnych.

CHUSTKA DO NOSA miała duże trudności do przezwyciężenia, zanim znalazła się w powszechnym użytku. Na dworach zastanawiano się bardzo poważnie, czy godzi się dawać „specjalne przywileje dla brudu, który wydobywa się z no-



Maszta stacji telewizyjnej

Ogromne zainteresowanie telewizją w naszym kraju, rosnące w miarę uruchomienia ośrodków nadawczych, skierowane naturalnie uwagę ku problemom technicznym nadawania i odbioru obrazów. Nowoczesne pojęcie popularyzacji nauki i techniki wymaga rozpraszania atmosfery „magii”, otaczającej jeszcze telewizję w opinii milionów przyszłych jej użytkowników. Spełniając to „zamówienie społeczne”, które znalazło wyraz w listach Czytelników rozpoczynamy cykl popularnych artykułów o tym zagadnieniu, obejmujący: zasady nadawania obrazów (1), zasady odbierania obrazów (2) i obsługę telewizora (3). Sądzymy, że wzbudzą one zainteresowanie wśród naszych Czytelników, stanowiąc dla nich „ABC” telewizji, i zwiastując satysfakcję z użytkowania telewizora, którego każdemu życzymy.

Redakcja

Mówiąc pogłowo, telewizja musiała rozwiązać dwa trudne zadania: dokonać zamiany światła (obrazu) w elektryczność dla potrzeb stacji nadawczej i zamiany odwrotnej — elektryczności w światło (obraz) dla potrzeb stacji odbiorczej czyli telewizora.

Działanie „mozaiki”

Trzeba powiedzieć z góry, że telewizja, „cudowne dziecko” XX wieku, jest wynalazkiem bardzo złożonym. Tysiące amatorów na całym świecie własnymi siłami buduje dobrze

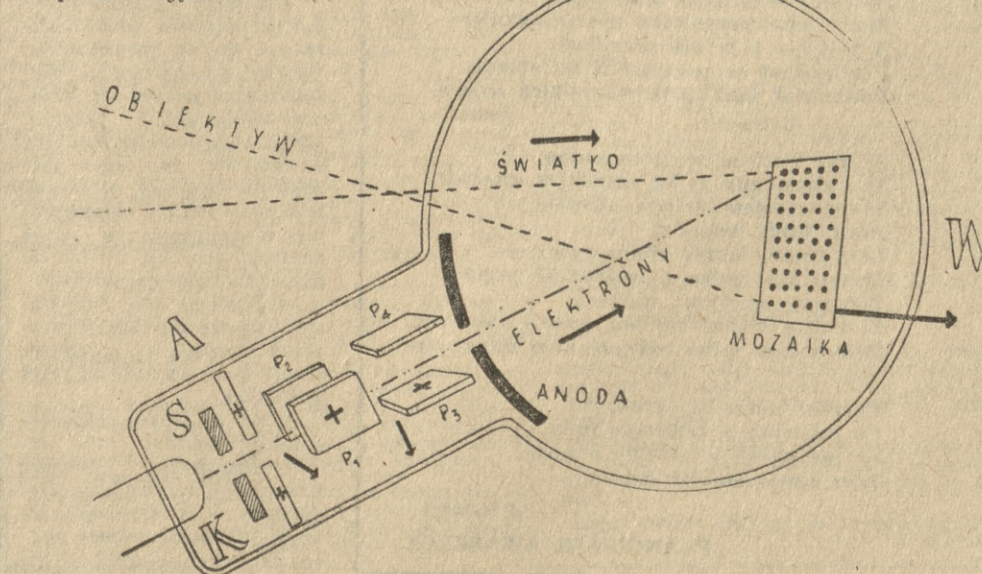
pracujące radiostacje nadawcze, a miliony budują świetne amatorskie radioodbiorniki. W przy padku telewizji oba osiągnięcia są nieporównywalnie trudniejsze. Prosimy spojrzeć na uproszczony schemat działania nadawczej kamery telewizyjnej: (patrz rys. u dołu).

Zalóżmy tu dla większej prostoty, że chcemy nadać obraz przedmiotu nieruchomego. Każdy oglądany przez nas przedmiot pozwala w sobie wyróżnić miejsca jaśniejsze i ciemniejsze. Rozchodzą się od nich ku naszemu oku promienie świetne, sprawiając to, że „widzimy”. Kto przez lupę obejrzy zdjęcie wydrukowane w gazecie, zauważy łatwo taką „siatkę” punktów o różnej jasności. Podobnie w kamerze telewizyjnej. Wpadający do niej snop promieni świetlnych, pochodzących od „pozującego” przedmiotu, obejmuje promienie o różnej jasności.

Należy teraz dokonać rzeczy najważniejszej, to jest zamienić je na impulsy elektryczne, także o różnej odpowiedniej jakości. Zadanie to przejmują „mozaiki” — komórki fotoelektryczne. Z rysunku widać, jak promienie świetne biegnące poprzez obiektyw od przedmiotu padają na „mozaikę”. Jest to płytka trójwarstwowa. Środkowa warstwa, wykomana z miki, izoluje od siebie dwie pozostałe. Warstwa miki spryskana jest z jednej strony milionami kropek specjalnego srebrnego stopu. Zastępy kropek mają średnicę kilku tysięcznych mm i zalegają mikkę w liczbie do czterech milionów na jej każdy mm kwadratowy! Nie stykają się jednak z sobą. Jest to naprawdę superprecyzyjna „mozaika”! Odwrotna strona miki też jest metalizowana. Każda więc z

mozaik ma swój własny adres, który jest jej unikalnym numerem. Dzięki temu, że kropek jest tak wiele, możemy uzyskać obraz o bardzo wysokiej rozdzielczości.

Lampa telewizyjna nadawcza.



Dr Włodzimierz Krzyżaniak

»ABC telewizji«

kropek stopu z podłożem stanowi miniatury kondensatorów, pozwalających gromadzić elektryczność. A zarazem każda z nich stanowi miniaturę komórki fotoelektrycznej, pozwalającą zamieniać światło w elektryczność. Jak pracuje kropelka „mozaiki”?

Oto do wnętrza szklanej bańki padł na kropelkę promień świetlny, idący od „nadawanego” przedmiotu. Fizyk Hallwachs jeszcze przed laty odkrył, że niektóre metale uderzone promieniem światła elektryzują się dodatnio, bo promień świetlny wyłuskuje z nich niejako ujemne elektrony. Jest to zjawisko fotoelektryczne albo fotoemisja. Część wyłuskanych przez promień światła ujemnych elektronów kropelki jest natychmiast porwana przez dodatnią anodę, przyciągającą je silnie, a reszta „spichlerzowana” jest w trzeciej warstwie. W ten sposób w ciągu ułamka sekundy każdy z milionów kondensatorów „mozaiki” zostaje promieniem światła naładowany elektrycznie i to zależnie od siły pobranego światła.

Obraz przedmiotu jest więc już teraz elektrycznie wiernie utrwalaony na „mozaice”, chociaż go jeszcze zgoła nie widać.

Elektronowy ostrzał

Następuje druga faza nadawania. Oto w długiej szybie bańki (dół rysunku) zaczyna pracować „lampa Brauna”. Żarzona katoda (K) stanowi wyrzutię elektronów. Dodania, osobna dla tej lampy anoda (A) przyciąga je w swą stronę, ale rozpedza je tak silnie, że przelatują mimo i padają na „mozaikę”. Rzecz jednak w tym, by snop elektronów — ostrzeliwujących naładowane poprzednio kropelki „mozaiki” — nie siał po niej beładnie. Ma on ją teraz „wybierać” czyli, mówiąc technicznie, analizować i to począwszy od lewego górnego rogu „mozaiki”. Linia za linią, aż do prawego dolnego rogu, tak jak to robi... palcem po książce pierwszoklasisty.

Wybiegająca z (K) chmura elektronów zostaje więc wpraw w zwężoną soczewka (S) w cienki (około 1 mm) strumień. Minąwszy już w rozpedzie anodę (A) wpada ten strumień między dwie płytki P₁ oraz P₂. Jeżeli P₁ uczynimy dodatnią, strumień elektronów zegnę się przyciągnięty w jej stronę, a więc w prawo i przebiegnie od lewej ku prawej pierwszej, górnej linie kropek „mozaiki”. Druga para płytek P₂ oraz P₃ ma znów pozwolić na odwrócenie się strumienia na drugą linię. Nastąpi to, jeżeli P₂ będzie dodatnią. Dzięki temu samoczynnemu urządzeniu sterującemu promieniem elektronów całą „mozaiką” zostanie przebiegnięta systematycznie wybierającym promieniem elektronów czyli „zalinowana”.

Droga w świat

Cóż się przez to dzieje na „mozaice”? Następuje trzecia faza nadawania. Każda z kropek „mozaiki”, naładowana poprzednio promieniem świetlnym, uderzona teraz linijującym promieniem elektronów idących z (K) zmienia swe nała-

dowanie, zależnie od tego, jaki silny był pierwszy promień naświetlający. Powstała różnica elektryczności odpycha natychmiast jako słabutkie prądy elektryczne do wzmacniacza (W), który wzmacnia je potężnie, zachowując jednak ich uporządkowanie.

Następuje teraz czwarta i ostatnia faza nadawania. Wzmocnione impulsy elektryczne powstałe w milionach kropek „mozaiki” zostają anteną skierowane w przestrzeń, skąd — przejmą je telewizory.

Zarys podstaw ich działania odłożymy do następnego artykułu, poprzestając tu tylko na kilku ciekawszych danych technicznych dla kamery telewizyjnej.

Technika a zagadnienie ceny

Promień elektronów linijuje „mozaikę” kilkadziesiąt razy w ciągu sekundy. Dodatkowe impulsy synchronizujące sygnalizują każdorazowo koniec linii i całej „ramki”. Chodzi przecież o to, by ruch powrotny promienia elektronów od prawej ku lewej przed zejściem na drugą linię, nie utrwalał się na „mozaice”, a więc tym samym na ekranie telewizora. Częstotliwość ramki: 50 na sekundę oraz liczba linii ramki: 405, 525 lub nawet 625 pozwalają zarówno na ogromną szybkość przekazywania obrazu, jak i na jego doskonałą ostrość.

Przy częstotliwości ramki 50 na sekundę 625 liniach ramki, wybierający strumień elektronów przebiega 625 razy 50=31 250 linii. Przy szerokości „mozaiki” 20 cm, daje to 31 250 razy 20 cm, czyli ponad 6 km... w ciągu sekundy.

Czytelnik zrozumie, że wobec wymaganej precyzji zwłaszcza w konstrukcji „mozaiki” kamery telewizyjnej i samosterujących urządzeń liniownika elektronowego nie może dziwić wysoka cena żądana za dostarczane nam stacje przez zagranicznych (na razie) producentów.

Dlaczego telewizja nadaje na falach ultrakrótkich? Aby nadać dwa punkty obrazu, różne pod względem jasności, trzeba raz zmienić impuls elektryczny w antenie nadawczej. Dla czterech milionów punktów świetlnych nadawanego obrazu trzeba więc nadania 125 tysięcy impulsów na antenę. Jeżeli obraz w telewizorze nie ma migać, muszą być one nadane w czasie nie dłuższym niż 1/25 części sekundy. Tak więc antena musi wysyłać w przestrzeń w sekundzie 125 000 razy 25=3 125 000 impulsów. Praktyka wymaga jeszcze powiększenia tej liczby. „Fala nośna” o takiej częstotliwości może być tylko bardzo krótka (kilka metrów).

Niestety, fale takie nawet przy silnej stacji nadawczej nie przenoszą mimo wysokiej anteny zasięgu kilkudziesięciu km. Czytelnik sam zechce więc ocenić, ile ośrodków nadawczych potrzebowałby nasz kraj dla całkowitego telewizowania. Musimy jednak podjąć ten wysiłek, by nie pozostać daleko w tyle za innymi.



Julian Mikołajczak

INICJATYWA

Rys. Henryk Derwich

szych, bezrolnych. Mogą się za-
jąć wypalaniem cegły. Dajcie
zezwoleń.

Ob. Kozik miał strasznie ma-
ło czasu. Powiedział tylko:

— No, dobrze. Ale pod zało-
żeniem cegielni trzeba gruntu.
Wy mi capniecie kawał pola, a
czy pomyśleliście, że przez to
brat-robotnik w mieście będzie
miał mniej chleba, mięsa i
ziemniaków? Nie pomyśleliście.

I nie dał zezwolenia.

III.

Do ob. Kozika, przewodniczą-
cego Prezydium GRN, przy-
była delegacja mieszkańców
Starolipia.

— Obywatelu przewodniczą-
cy! Będziemy wypalać cegłę na
kawałku nieużytków, co ich
trochę we wsi mamy. Dostawę
nie ucierpią. Dajcie zezwolenie.

Ob. Kozik miał strasznie ma-
ło czasu. Powiedział tylko:

— Co wyście się tak uparli
z tym wypalaniem! A czym bę-
dziecie palić? To na to polski
górnik męczy się na przodku,
zebyście wy mogli cegły wypa-
lać?

I zezwolenia nie dał.

IV.

Do ob. Kozika, przewodniczą-
cego Prezydium GRN, przy-
była delegacja mieszkańców
Starolipia.

— Obywatelu przewodniczą-
cy! Węgla do wypalania cegły
znajdzie się. Każdy we wsi do-
staje go za kontraktację. Tro-
chę się zaoszczędzi w domu i

To i owo

Trofeum Harman 1956, doroczna
nagroda wręczana uroczystie przez
prezydenta Stanów Zjednoczonych
sportowcom, którzy uzyskali naj-
lepsze wyniki w lotach powietrz-
nych, tego roku zostało przyznane
też kobiecie, młodej — Jacqueline
Auriel, która osiągnęła na swoim
samolocie szybkość 1150 km na go-
dzinę. (a)

Na międzynarodowym kongresie
instrumentów automatycznych, —
który się odbył niedawno w Pary-
żu, zaprezentowano „dźwiękograf”
aparaturę elektroniczną, zdolną prze-
mienić słowo na pismo oraz roz-
różniać głos rozmaitych osób. (a)

Przechodził idący w nocy po
opustoszałej ulicy jednego z miast
włoskich usłyszał głos wydobywa-
jący się z ciemności. — „Czy chce-
cie łbyście ofiarować cośkolwiek oso-
bie biednej, głodnej i bez pracy?
Ten rewolwer jest jedyną rzeczą,
jaką posiadam na świecie”. (ja)

jakoś wystarczy. Dajcie zezwo-
lenie.

Obywatel Kozik miał strasz-
nie mało czasu. Powiedział tyl-
ko:

— A wam koniecznie te ce-
gły potrzebne? Nie styszełście
nie o budownictwie z gliny? W
Niemczech budują się z gliny
całe kamienice. Świat idzie na-
przód, a wy ciągle tkwicie w
starych, zacofanych metodach!

I nie dał zezwolenia.

V.

Do ob. Kozika, przewodniczą-
cego Prezydium GRN, przy-
była po raz ostatni delegacja
mieszkańców Starolipia.

— Obywatelu przewodniczą-
cy! My jednak chcielibyśmy za-
łożyć cegielnię. Przecież teraz
jest taki czas, że nie trzeba się
ogłądać na górę, tylko samemu
brać się do rzeczy. Gazety piszą
o tym. Dajcie zezwolenie.

Obywatel Kozik miał chwilę
wolnego czasu. Powiedział więc:
— To cóż, że gazety piszą!

Anekdoty

Król Zygmunt August był
wielkim miłośnikiem książ-
zek, które sprowadzał wiel-
kim kosztem z zagranicy i
tym sposobem zebrał bibliotekę
autorów starożytnych,
jedyną w swoim rodzaju.

Chcąc pewnego razu spro-
wadzić znaczną ilość książek,
poleciał ich kupno biblioteka-
rzowi Lismaninowi, którego
wysłał za granicę z pieniędzmi.

Dowiedział się o tym bla-
zen królewski Stańczyk i
śmiał się z tego:

— Powiedz mi też, Stań-
czyku — rzekł mu król —
ilus ty już głupców równych
sobie znalazł?

— Co dzień ich spisauję i
już Zygmunta Augusta za-
pisałem.

— A to za co?

— Za to, że Lismaninowi
dał tyle pieniędzy i wypra-
wił go z nimi za granicę.

— Poczekażcie jeszcze, a
Lismanin wróci.

— Gdy wróci, to ciebie
zmaże, a jego zapiszę.
Jak się okazało, Stańczyk
miał w tym przypadku rację,
gdyż Lismanin rzeczywiście
nie wrócił, lecz zagarnął
szy królewskie pieniądze, o-
siedział w Szwajcarii.

Warunki materialne mu-
zyków w Rosji carskiej nie
były najlepsze, nawet wte-
dy, gdy muzyk nazywał się...
Rimski - Korsakow (1844—
1908). Słynny kompozytor
był wykładowcą w Konser-
watorium w Petersburgu i
razem z innymi profesorami
został przedstawiony carowi
Aleksandrowi II podczas wi-
zytacji tegoż w ucehni.

Aleksander II poznał już
uprzednio gdzie indziej mu-
zyka, toteż zwrócił się do
niego z następującymi sło-
wami:

— W pierwszej chwili nie
poznałem pana. Bardzo się
pan poprawił...

A na to Rimski-Korsa-
kow:

— Rozumiem zdziwienie
Waszej Cesarskiej Mości.
Rzeczywiście trudno uwie-
rzyć, aby człowiek mógł utyć
na pensji profesora Konser-
watorium!

Bismarck (1815—1898)
był człowiekiem apodyktycz-
nym i nieraz opryskliwym.
Bawiąc na kuracji w Ma-
rienbadzie, poddał się bada-
niu miejscowego lekarza.
„Żelaznemu kancierzowi” wy-
dawało się, że lekarz jest
zbyt skrupulatny, ponieważ
w trakcie wizyty wypytwał
się drobiazgowo o różne
objawy choroby. Wreszcie
pacjent stracił cierpliwość:

— Zamiat mnie wypyt-
wać, proszę mi raczej prze-
pisać leczenie — rzucił to-
nem, nie dopuszczającym
sprzeciwu.
A na to lekarz odpo-
wiedział grzecznie:

— Radziłbym Waszej
Ekszellencji sprowadzić wete-
rynarza — to jest jedyny le-
karz, który nie zadaje swo-
im pacjentom pytań!

Nasza prasa miała ostatnio po-
ważne wypaczenia. To nie jest
więc argument. Ale jeśli ko-
niecznie chcecie...

Delegacja koniecznie chciała.

Obywatel Kozik dał zezwole-
nie.

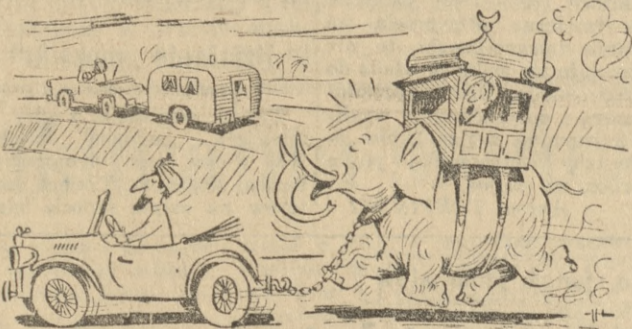


Na najbliższej sesji Pow. Ra-
dy Narodowej ob. Kozik z du-
żym poczuciem dumy mógł o-
świadczyć z mównicy:

— W trosce o pełne wyko-
rzystanie rezerw miejscowych i
w ramach akcji pobudzania od-
dolnej inicjatywy Prezydium
naszej GRN mimo piętrzących
się trudności uruchomiło w Sta-
rolipiu cegielnię dla potrzeb
miejscowej ludności. Byłoby do-
brze, gdyby inne gromadzkie
rady narodowe poszły śladem
naszego Prezydium...



— Jestem wzru-
szony, panie se-
dzio! Po raz pierw-
szy mogę mówić
w obecności mojej
żony.
„Vie Nuove”



Z domkiem campingowym na weekend.

Rys. H. Derwich

Lech Konopiński

GONIMY ZACHÓD

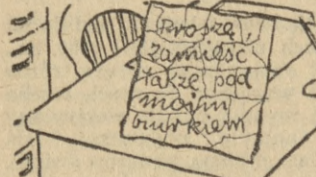
Cwierkają o tym wróble na dachu,
Że w szybkim tempie gonimy Zachód!
Cwierkają sobie — wiecie już chyba —
W rytmie melodii — Hej! baba riba!

I opiewają wielkie zasługi
Tych, co nam dali mambo i boogie.
Bowiem robotnik i chłop się cieszy,
Kiedy oglądać może dżem-seszyn.
Gdy może tańczyć holupce swoje
Tak, jak to każą mu Bracia Rojek!
Każdy jest wesół! Nikt się nie nudzi
Whisky and soda pijąc — miast wódzi!
Już nie przeraża nas żaden kłopot —
Wszak wybraliśmy cudną Miss Sopot!
Lecz to nie wszystko! Jest radość
nowa!

Bo oto mamy znów Miss Krakowa!
Tyle jest pięknych przeżyć i uciech
I na Wybrzeżu i w Nowej Hucie!
Aż w narodową popadam dumę.
Gdy w rytmie jazzu przeżużam
gumę!
Od tych sukcesów boli mnie głowa!
Tak!!! Wzrosła u nas stopa
życiowa!!!



Historia bez słów



Hennady Breżniew

poeta i satyryk. Urodzony w 1913, zmarł w 1953 r.



Z zająca raz zrobiono wysokiego dygnitarza
(Bo i tak się na świecie czasami też zdarza).
Zając, który przypadkowo
Uszył sobie spodnie kroju wojskowego,
Zrobił się takim ważniakiem,
Że trudno przystąpić do niego.

— Nie można...
— Naczelnik nie przyjmuje...
— Naczelnik u dyrektora...
— Naczelnik nie urzęduje...
I tak się sprawuje ów gość.
Ze ani do niego dojść.
Im dalej — gorzej... Kiedyś, jak najraniej,
Zajączycha przyniosła mu śniadanie.
A zając — i ją dla przykadu
Przełrzymał w poczekalni do obiadu.
Powiedział tak: „Dla wszystkich prawo
jedno”.

Aż raz trafiono w samo sedno:
Na zająca, gdy tylko inspekcja zjechała,
Skarg, zażaleń złożono niemało.
Zając, kręci, wierci...
Lecz trudno ukryć znaną rzecz —
Musiał nasz zając z posadki iść precz.
Zobaczyli wówczas wszyscy,
Że był to biurokrata bez serca i duszy —
Tyle w nim tylko było, że miał długie uszy.

Cheemy uprzedzić tych.
Co pochodzą z zającego rodu.
Że nie naród w służbie u nich,
Lecz oni w służbie narodu.

Przełożył
FRANCISZEK SWARZYCA



Bez słów
(„Panorama — Holland”)



Przechodzi ludzkie pojęcie, jak
ta demokracja dokucza Lilusi.
Wszystko według niej jest takie
prymitywne, chamskie. Chociażby
te skumbrie. Kto to ma jeść? Gdy-
by chociaż były jakieś możliwe ry-
by. Ale węgore pojawiają się
rzadko, łososie wcale, o kawiorze
nie ma co marzyć. Dawniej?...
Ach, dawniej było zupełnie inaczej!
Te wytworne toalety, ta uprzej-
mość panów. Na przyjęciach smo-
kingi, fraki i fantastyczne kreacje
pań. A te rozmowy! Pełne dowcipu,
francuskich słówek. Ach!...
Doprawdy iza się w oku kręci na
samo wspomnienie.

Co z tego, że jest teraz żoną dy-
rektora? Ph!... jaki to tam dyrek-
tor? Samochód wprawdzie ma do
dyspozycji, ale Lilusi bardzo rzad-
ko wypożycza. Nie może, bo mu
ta rada i pop na palce patrzy. I to
jest wolność, demokracja? Nie
dość, że się poświęciła — popełni-
ła megalomanię, aby polepszyć sobie
ankietę — to musi jeszcze tę jakąś
tam dyktaturę proletariatu znosić.
A ona przecież teraz sama prole-
tariat, więc powinna dyktować, a
nie słuchać. I to kogo? Jakichś po-
spolitaków z tego popu.

Ech, byłoby inaczej, gdyby nie
jej mąż — Feluś. Wszystko się w
rezultacie na nim skrupia. I słu-
żenie! Po co taki fajtlapa? Żony się
boi, rady się boi, popu też się boi...
no i siwieje ze zmartwienia. Cho-
ciaż trzeba przyznać, że mu dobrze
z tą siwizną. Wygląda poważnie i
dostojnie. — Może go wybiorą na
dyrektora centralnego zarządu.
Kwalifikacje ma. Umie przecież
ławiarować między Lilusią, popem
i radą — to dlaczego nie umiałby
miedzy Sejmem, rządem a Lilusią.
Najwyżej posiwieje jeszcze trochę,
a to mu przecież nie zaszkodzi. A
Lilusia byłaby nareszcie w swoim
sosie. — Stolica, przyjęcia, pano-
wie we frakach, panie w wytwor-
nych toaletach. Rozmowy pełne
obcych słówek. — Ach! Żeby ten
Feluś został warszawskim dyrekto-
rem!

ZUZANNA